

Sam sobie szybowałem w przestworzach. Z Jerzym Speina rozmawia Przemysław Kaniecki

Przemysław Kaniecki: Właśnie ukazała się nowa książka pana profesora, *Świadectwa czasu. Wybrane wątki dwudziestowiecznej literatury polskiej*. Jest to zbiór studiów i szkiców o dziełach różnych autorów – czasami bardzo różnych, a jednak dla ich interpretacji znalazł pan wspólną płaszczyznę.

Jerzy Speina: Ta książka zamyka pewien zasadniczy etap mojego życia naukowego. Znalazły się w niej teksty, które świadczą z jednej strony o trwalszych, rozwijanych przez lata zainteresowaniach badawczych, z drugiej zaś – o pewnym przesunięciu zaciekawień w stronę motywów tematycznych, które dotychczas pojawiały się w moich pracach marginalnie.

Przemysław Kaniecki: Jednym z obszarów obdarzonych takim trwalszym zainteresowaniem jest egzystencjalizm.

Jerzy Speina: Owszem. To był – i jest chyba nadal – kierunek filozoficzny, który stał mi się bardzo bliski. Z różnych powodów. Głównie osobistych: kończyłem studia w okresie popaździernikowym, w roku 1958, czyli wtedy, kiedy egzystencjalizm stanowił swego rodzaju otwarcie na świat, był znakiem wolności w szerokim tego słowa znaczeniu, także wolności obywatelskiej. To był czas, w którym zaczęto nadrabiać zaległości wydawnicze spowodowane przez blokadę okresu stalinowskiego i w przyśpieszonym tempie publikować, znakomite zresztą, dzieła spod znaku egzystencjalizmu francuskiego.

Poza tym zadecydowały o mojej fascynacji ową filozofią uwarunkowania obiektywne: sama literatura polska w nowej sytuacji historycznej – politycznej, społecznej – opowiadała się po stronie egzystencjalizmu. Po socrealistycznej stagnacji egzystencjalizm stanowił ożywczy strumień myślowy, który inspirował artystycznie pisarzy zarówno debiutujących w okolicach 1956 roku, jak i tych, którzy mieli już poza sobą spory dorobek literacki sprzed lat – jak Jarosław Iwaszkiewicz, Kazimierz Brandys czy Stanisław Dygat. I coś tam z ówczesnego klimatu intelektualnego i artystycznego w mojej świadomości pozostało.

Przemysław Kaniecki: „Poezja egzystencjalnego rozdarcia” – taki tytuł pojawia się nawet w tytule jednego z tekstów książki.

Jerzy Speina: I to jest właśnie jeden z przykładów wyjścia w stronę interpretacji koncentrującej się na różnych aspektach egzystencji jednostkowej i zbiorowej w świecie przedstawionym. Wyzyskałem impulsy filozoficzne egzystencjalizmu do charakterystyki – jak w wypadku przywołanego właśnie tekstu – poezji Jerzego Lieberta, ale także twórczości lirycznej Czesława Miłosza, opowiadań Sławomira Mrożka, cyklu o profesorsze Tutce Jerzego Szaniawskiego czy powieści Jerzego Krzysztonia. Na dalszym planie wątki egzystencjalistyczne dają o sobie znać w najobszerniejszej pracy, wydanej później w formie książkowej, mianowicie w przeglądzie przekazów literackich, które wyszły

spod pióra cywilnych tułaczy września 1939 roku: uciekinierów, wygnańców przepędzanych z miejsca na miejsce, więzionych, zsyłanych do obozów pracy – późniejszych emigrantów niepodległościowych. Książka ta ma, podobnie jak wcześniejsze moje teksty, odniesienia teoretycznoliterackie, na przykład w studiach o Mrożku i Krzysztoniu wyeksponowana została kategoria poetyki – przestrzeń.

Przemysław Kaniecki: Jestem bardzo ciekawy spojrzenia pana profesora na wspomniany okres, w którego fermencie intelektualnym rozpoczął pan swoją pracę naukową. A także na czas nieco wcześniejszy. Mogę, na przykład, zapytać, jak wyglądały pana studia, jak wyglądała wtedy nasza uczelnia?

Jerzy Speina: Trafiłem na studia polonistyczne na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w roku 1954. Był to okres, wiadomo, niedobry. W dydaktyce, i to w szerokim zakresie, obowiązywała doktryna marksistowska jako ideologiczny fundament interpretacji i oceny dzieł literackich różnych obiegów, a także opisu elementów teorii procesu historycznoliterackiego.

Trafiłem na studia bezpośrednio po uzyskaniu świadectwa dojrzałości, a w liceum spis lektur obowiązkowych i ich interpretacja były też ukierunkowane na dociekania ideologiczne. Dobór utworów i sposób ich obróbki interpretacyjnej miał ucznia uformować w sposób pożądaný przez administratorów oświaty (tak było i jest zresztą zawsze, lata pięćdziesiąte nie stanowiły pod tym względem jakiegoś wyjątku). Być może zostałem jakoś uformowany, coś mi z owych doświadczeń szkolnych, a następnie uniwersyteckich, nie do końca negatywnych, zostało. Otóż w dalszym ciągu nie jestem obojętny na walory poznawczo-perswazyjne dzieła literackiego (z tym że wówczas, we wczesnych latach pięćdziesiątych, pojęcie jakości „poznawczo-perswazyjnych” było bardzo zawężone: odnosiło się przede wszystkim do genetyzacji utworu, jego funkcjonowania ideologicznego w społeczeństwie).

Na pierwszym roku studiów zetknąłem się od razu, na szczęście, z dwiema opcjami metodologicznymi. Nauczyciele akademicy młodego pokolenia, ci z naboru ZMP-owskiego, tak to nazwijmy – respektowali, rzecz jasna, reguły metodologii marksistowskiej. Natomiast przedstawiciele starszej generacji, wykształceni w okresie międzywojennym – byli, jak to wynikało z moich obserwacji, dalecy od entuzjazmu dla marksizmu.

Mówię przede wszystkim o profesorze Arturze Hutnikiewicz (wtedy jeszcze adiunkcie), który prowadził na drugim roku studiów ćwiczenia z poetyki, stylistyki i wersyfikacji, a na pierwszym ćwiczenia z nauk pomocniczych literatury polskiej. Profesor omijał dyrektywy estetyki marksistowskiej, sięgał po inne wzorce metodyczne analizy utworów. Przedwojenne.

Były to wzorce związane z teorią Romana Ingardena o sposobie istnienia i budowie dzieła literackiego, a także łączące się z kierunkiem badań zwanym estetyzmem (pragmatyzmem estetycznym), którego fundamentem stały się indywidualistyczna interpretacja genetyzacji utworu literackiego oraz estetyczna postawa poznawcza, prowadząca do ujmowania formy literackiej jako wartości uwarunkowanej prawami intencji pisarskiej. Chodzi tu przede wszystkim o wzorce metodologiczne, które budował

profesor Eugeniusz Kucharski, kierownik Katedry Teorii Literatury i Literatury Porównawczej, zresztą stworzonej *ad hoc* dla Jana Kasprówicza na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Po śmierci Kasprówicza powstał wakat i powierzono kierownictwo tej katedry Kucharskiemu, który był głównie historykiem literatury polskiej, zajmował się między innymi komediopisarstwem Fredry (czym, jak wiadomo, „naraził” się Tadeuszowi Boyowi-Żeleńskiemu), jednak wszedł w końcu także na pole teorii literatury i zbudował własny warsztat teoretyczny; trzeba by tu odwołać się między innymi do jego artykułu *O metodę estetycznego rozbioru dzieł literackich*, opublikowanego w „Pamiętniku Literackim” z roku 1923, oraz rozprawek o kompozycji literackiej czy poetyce noweli.

Należy pamiętać, że twórczość naukowa Eugeniusza Kucharskiego przypadła na okres rozgorzałych sporów o nowe drogi badań historycznoliterackich, jak również o nowe teoretyczne podstawy poznania dzieła jako podstawowego przedmiotu tych badań. Wspólną cechą przełomu w dyscyplinach zajmujących się wytworami estetycznymi był generalny odwrót od formuł interpretacyjnych wypracowanych przez naukę epoki pozytywizmu, to jest od psychologicznej teorii sztuki i psychologicznej metody naukowej interpretacji dzieła, dopełnionej później przez Diltheyowską teorię struktur duchowych.

Przemysław Kaniecki: Profesor Hutnikiewicz przejął te wzorce jako uczeń profesora Kucharskiego.

Jerzy Speina: Tak, uczeń, a następnie asystent na Uniwersytecie Lwowskim i – po wojnie – na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, bo profesor Kucharski ściągnął Artura Hutnikiewicza do Torunia z gimnazjum w Wątczu i sprawił, że w 1948 roku uzyskał on stopień doktora na podstawie rozprawy *Forma motywacyjna w kompozycji powieści Żeromskiego*.

Przemysław Kaniecki: Data obrony rozprawy nie jest bez znaczenia.

Jerzy Speina: Jeszcze można było takie tematy sobie wybierać – „formalistyczne”, jak powiedziałyby ówczesny marksista. Już niebawem zaczęła się inwazja materializmu dialektycznego i historycznego na wyższych uczelniach, pojawiły się na przykład publikacje o problemach krzywdy społecznej o podłożu klasowym w twórczości Żeromskiego, a tutaj – „forma motywacyjna w kompozycji”. Tezy swojego doktoratu profesor włączył do studium *Żeromski i naturalizm*, które zresztą musiał przededagowywać, zgodnie z zaleceniami opiniodawców z IBL PAN, wówczas marksistowskiej kuźni kadr polonistycznych. Książka wyszła drukiem w 1956 roku i przyniosła autorowi stopień naukowy docenta.

Podczas moich studiów to właśnie profesor Hutnikiewicz wprowadzał do analizy literackiej takie kategorie, jak – powiedzmy – sztuka postaciowania, formy podawcze, kompozycja, budowa dzieła literackiego (za profesorem Kucharskim oddzielał od siebie te dwa ostatnie pojęcia, z czym się *notabene* nie zgadzałem i nie zgadzam). Seminarium profesora było niezwykle metodyczne – uczyło schłodności badawczej, respektowania ustalonych kategorii opisowych poetyki.

Przemysław Kaniecki: A wykład profesora Hutnikiewicza?

Jerzy Speina: To już był czwarty rok, ostatni rok studiów (bo studia trwały cztery lata); w programie zajęć znajdował się wykład z literatury polskiej „epoki imperializmu”,

czyli Młodej Polski – na tym okresie kończył się wówczas uniwersytecki kurs historii literatury. Literatura epoki imperializmu – była to nazwa ogólnie narzucona przez centralny program studiów; figurowała ona także w podręczniku dla szkół średnich i skrypcie dla studentów filologii polskiej. Ta nazwa była tylko „ramą” wykładu Hutnikiewicza, wyłożony materiał nie wykazywał ściślejszego związku z zawierającą się w niej implikacją, która odwoływała się do ekonomii politycznej. Wykład był prezentacją poszczególnych autorów, obserwacją dzieł – w ich relacji do kultury, historii i osoby pisarza.

Nawiasem mówiąc, profesor miał za złe Jerzemu Kwiatkowskiemu, autorowi *Literatury Dwudziestolecia*, że podzielił literaturę międzywojenną na rodzaje literackie: poezja, proza, dramat, krytyka literacka. Napisał recenzję tej książki i w niej właśnie wyraził żal, że w tej siatce genologicznej zatarciu uległy osobowości twórcze. Proszę zwrócić uwagę: książka Hutnikiewicza *Młoda Polska* ma inną strukturę. Epoka i indywidualności. Tam są te rozmaite fluktuacje duchowe, rozmaite przeobrażenia czy impulsy światopoglądowe, filozoficzne i religijne – to wszystko tworzyło zrąb podstawowy okresu; natomiast uwarunkowania pisarstwa, które wiążą się z procesem społecznym, pojawiają się na dalszym planie, jeżeli w ogóle się pojawiają. Punkt ciężkości został przeniesiony na autorów, ludzi piszących, z całą ich zewnętrzną i wewnętrzną biografią. Wskazują na to już same nagłówki rozdziałów książki. Coś podobnego znajdziemy w kompendium Juliana Krzyżanowskiego *Neoromantyzm polski*, w którym są rozdziały zbiorcze, obejmujące pisarzy *minorum Pentium*, i rozdziały „portretowe”, poświęcone autorom wybitniejszym.

Właśnie tak to u Hutnikiewicza wyglądało również na wykładzie z „literatury epoki imperializmu”. Pięknie podane całości monograficzne. Profesor przykładął wagę do formy językowej swoich wykładów, tak jak Juliusz Kleiner, u którego także studiował (wydał potem wybór pism i Kucharskiego, i Kleinera).

Przemysław Kaniecki: Polityczny klimat polonistyki uniwersyteckiej w dobie, w której pan studiował, nie był korzystny, delikatnie mówiąc, dla nauki i badaczy.

Jerzy Speina: To są sprawy znane. W 1951 roku na I Kongresie Nauki Polskiej gromiono „burżuazyjnych” historyków literatury. Profesorowie polonistyki toruńskiej, jak słyszałem, ciężko ten kongres odchorowali; Tadeusz Makowiecki, Eugeniusz Kucharski zmarli w 1952 roku. Na bezterminowy urlop dydaktyczny skierowany został Konrad Górski. Wcześniej, bo już w roku 1949, etatów pozbawiono starszych asystentów, Irenę Sławińską i Czesława Zgorzelskiego, późniejszych – sławnych przecież – profesorów KUL-u.

Stefan Żółkiewski w książce *Spór o Mickiewicza* z 1952 roku rozprawiał się z „reakcyjnym, ahistorycznym” nastawieniem badaczy wobec romantyzmu, wysłedzonym u Stanisława Pigonia, Juliusza Kleinera, Manfreda Kridla, Wacława Borowego, Konrada Górskiego. Tym samym odrzucał całą najwybitniejszą mickiewiczologię. A jak miał do czynienia z wykwiutnie opracowanymi stylistycznie tekstami polonistycznymi czy wystąpieniami humanistycznymi, to powiadał: „Nie kleineryzuj waść”.

Przemysław Kaniecki: A profesor Hutnikiewicz właśnie „kleineryzował”?

Jerzy Speina: Można powiedzieć, że tak, że do pewnego stopnia tak. Wykłady były niezwykle starannie opracowane. Może pan zauważył na prelekcjach profesora...

Przemysław Kaniecki: Niestety, przyszedłem na studia o rok za późno.

Jerzy Speina: Te wykłady niezwykle podobne były do odczytów: profesor trzymał się tekstu napisanego. To były zeszyty pisane stronica po stronicie – i tak kartkowane. Bywają tacy wykładowcy czy prelegenci, którzy odrywają się często od podstawy tekstowej swojej wypowiedzi, rozbudowują ją, wprowadzają jakieś dygresje. Hutnikiewicz do nich nie należał. Jego wywód, w kompozycji bardzo przejrzysty, klarowny, nie korzystał z takich rozluźnień wypowiedzi. Poza tym, co istotniejsze, profesor apelował nie tylko do intelektu, lecz także do emocji, które budują swoisty pomost, są łącznikiem docierającym do świata doznań i duchowych wartości poszczególnych słuchaczy; wiązał liryzm z silnie zakorzenionym w polskiej świadomości (zwłaszcza inteligenckiej) ideałem służby w przekazywaniu istotnych elementów narodowego dziedzictwa. Realizował konsekwentnie, oczywiście również w swoich pracach publikowanych, koncepcję pisarstwa naukowego porównywalnego z twórczością literacką. Tym tłumaczy się piękną szatę językowo-stylistyczną jego wystąpień.

Rozmawiałem kiedyś z profesorem Romanem Stanisławem Ingardenem (sąsiadem profesora, razem mieszkali w tej samej klatce schodowej na ulicy Kraszewskiego w Toruniu), który, kiedy przeczytał książkę Hutnikiewicza o Żeromskim, też zwrócił na to uwagę: że właściwie profesor Hutnikiewicz przejął styl Żeromskiego, styl nasycony pleonazmami. Rytm prozy Hutnikiewicza to jest rytm prozy Żeromskiego. Hutnikiewicz dążył do rytmizacji prozy; i proszę sięgnąć do obojętnie jakiego jego tekstu: tam są na przykład trójkowe zestawienia synonimów. Dla utrzymania rytmu i dla wzmocnienia emocjonalnego wypowiedzi, prawda? Wystarczyłby jeden przymiotnik – u Hutnikiewicza jest zawsze potrójne określenie. I profesor Ingarden (fizyk!) też zwrócił na to uwagę.

W podejściu Hutnikiewicza do literatury jest oczywiście również cała aksjologia świata Żeromskiego. Formułując pewne zadania badacza literatury, profesor formułował je *per analogiam* do zadań pisarza, tak jak owe zadania pojmował Stefan Żeromski. „My wszyscy z niego” – tak jak powiedział Krasiński o Mickiewiczu, tak tutaj można to chyba powiedzieć o Żeromskim, tak by, jak sądzę, widział to Hutnikiewicz.

Przemysław Kaniecki: Jak mogły wyglądać wykłady profesora Hutnikiewicza przed 1956 rokiem?

Jerzy Speina: Ja mogę mówić tylko o wykładach, których słuchałem już po roku 1956. Ale ponieważ były to tak zwane wykłady kursowe, domyślam się, że profesor tak samo prezentował ich treści w poprzednich latach. Bez tego całego obciążenia genetycznego w ujęciu marksistowskim. Akcent padał najprawdopodobniej także na to, co „samoswoje” w dokonaniach pisarskich danego autora.

Przemysław Kaniecki: A co to było?

Jerzy Speina: Owoce własnej wyobraźni, własny bagaż doświadczeń, przeżyć, który profitował twórczo. Dlatego profesor Hutnikiewicz w pracach o wielkich indywidualnościach pisarskich, pierwszoplanowych twórcach epoki Młodej Polski: Żeromskim, Przybyszewskim, Kasprowiczu, Adolfie Nowaczyńskim, wychodził zawsze od biografii. Podobnie rzecz przedstawia się w książce o polskim fantastyku, Stefanie Grabińskim;

jej część pierwsza zawiera szczegółową, niezwykle rozbudowaną biografię tego prozaika; u Kucharskiego też to było, taki podział: biografia i artyzm.

Przemysław Kaniecki: Jak na wykłady reagowali studenci?

Jerzy Speina: To było dla mnie ujmujące, dla studentów też. To była odtrutka na odrzucany już marksizm. W praktyce szkolnej, na lekcjach języka polskiego na porządku dziennym w mijającym wówczas okresie było naginanie przestań ideowych tekstu literackiego do szablonów z góry ustalonych i przyniesionych z zewnątrz, użytkowanych w sposób schematyczny, wulgaryzujący. I studenci – wiem z rozmów – cenili sobie to, że profesor przedkłada pisarza jako jednostkę nad proces historyczny w literaturze. Tak też wyglądały prace magisterskie u profesora: dał nam do wyboru tematy prac o charakterze zarysów monograficznych. Obejmowały one naturalizm (tu Sygietyński, obiekt moich pierwszych dociekań naukowych), Młoda Polska i Dwudziestolecie. Poza Dwudziestolecie profesor nie wyszedł.

Przemysław Kaniecki: Które nazywał „Literaturą II Niepodległości”.

Jerzy Speina: Na wykładach dużo uwagi (i słusznie) poświęcał historii politycznej II Rzeczypospolitej. I tutaj muszę powiedzieć – już tak z perspektywy czasu, na podstawie tego, co wyczytałem także z książek Hutnikiewicza – że jednak bliższe było mi spojrzenie na okres międzywojenny, które znacznie później zaproponował Czesław Miłosz. Bardziej krytyczne. Profesor nazbyt dowartościowywał historię polityczną Polski sprzed roku 1939. A przecież różnie w tamtych latach bywało, prawda? Zamach majowy, sprawa brzeska... Hutnikiewicz zaś tak rozmieszczał akcenty, by ukazać czasy II Niepodległości jako epokę w przeważającej mierze do zaakceptowania. To oczywiście ogniskowało się w kulcie Józefa Piłsudskiego (proszę zobaczyć teksty *Poezja polska na progu niepodległości* i *Trzy obrazy przedwiośnia niepodległości* w książce profesora *To co najważniejsze*, książce dedykowanej „Moim Studentom”). Wiem z rozmów prowadzonych z profesorem, że przez pewien czas nosił się z zamiarem monograficznego opracowania pisarstwa Kadena-Bandrowskiego – to mogło wiązać się właśnie z Piłsudskim.

Przemysław Kaniecki: Może to nadmierne dowartościowywanie było celowe?

Jerzy Speina: Może. Dla przeciwstawienia się. Wyidealizowanie obrazu miało może wyostrzyć konfrontacyjny cel polityczny: podkreślając niepodległościowe i wolnościowe strony rzeczywistości międzywojennej, oceniał to, co było po roku 1944–1945.

Chodziłem też na jego wykład monograficzny o grupie Skamandra (miała wyjść z tego książka – nie wyszła, skończyło się na publikacji pojedynczych tekstów najpierw w „Więzi”, a później w tomie *Portrety i szkice literackie* z 1976 roku). Tuwim, Wierzyński, Lechoń... Profesor darzył szczególnym uznaniem Lechonia, miał nawet wykład na inauguracji roku akademickiego 1958/1959, w dwa lata po tragicznej śmierci poety. Tytuł: „Sztuka poetycka Lechonia”. A wcześniej zaliczyłem wykład „Młodość pisarstwa Żeromskiego”. Wykorzystał go później profesor we wstępie do wyboru opowiadań tego autora w serii Biblioteki Narodowej.

Przemysław Kaniecki: Tego wykładu wysłuchał pan już jako asystent.

Jerzy Speina: W czerwcu roku 1958 ukończyłem studia i 1 sierpnia zostałem

zatrudniony na stanowisku asystenta w Zakładzie Literatury Polskiej XX wieku, kierowanym przez docenta Hutnikiewicza.

Przemysław Kaniecki: Był pan jego pierwszym asystentem.

Jerzy Speina: Profesor... nie dokonał słusznego wyboru, można by powiedzieć półzartem. Nie poszedłem jego drogą.

Przemysław Kaniecki: Mimo że, jak wspominał pan wcześniej, zajęcia profesora Hutnikiewicza nauczyły pana konsekwencji badawczej?

Jerzy Speina: Mimo tego. Zresztą takie podporządkowywanie się ustalonym z góry zagadnieniom poetyki groziło, co uświadomiłem sobie wkrótce, schematyzacją opisu.

Przede wszystkim jednak w pewnym momencie moje zainteresowanie wzbudził strukturalizm. To było coś nowego, pociągającego dla adepta polonistyki. Zacząłem uczestniczyć w Konferencjach Teoretycznoliterackich Młodych Pracowników Naukowych Polonistyki, współorganizowanych przez Pracownię Poetyki Historycznej IBL i – rotacyjnie – środowiska teoretyków literatury na różnych uniwersytetach. Personalnie najpierw przez Kazimierza Budzyka, który był kierownikiem tej pracowni, zresztą mistrza, wychowawcy całej plejady strukturalistów warszawskich: Michała Głowińskiego, Janusza Sławińskiego, Teresy Kostkiewiczowej, Aleksandry Okopień-Sławińskiej. Na jednej z tych konferencji, w roku 1963, przedstawiłem referat *Struktura powieści awangardowej (S. I. Witkiewicz)*; ukazał się drukiem w 1965 w zbiorze materiałów konferencyjnych *Styl i kompozycja*, pod redakcją Jana Trzynałdowskiego. Później jeszcze występowałem z referatami na tych konferencjach, już niekoniecznie młodych, pracowników naukowych.

Doktorat z Witkacego to rok 1964. Nie mogę nazywać się strukturalistą, gdyż mało mam po temu podstaw, niemniej chyba pod wpływem strukturalizmu zacząłem oddalać się od tej dziedziny badań, do której przykładał dużą wagę profesor – od prezentacji i oceny dzieł literackich w perspektywie biografii autora. Od postawy, która zakłada potrzebę całościowego oglądu zjawiska literackiego, również tych jego stron, które wymykają się – jak gdzieś sformułował profesor Hutnikiewicz – „wszelkim dającym się pomyśleć regułom i schematom analizy naukowej, ale są ważne, istotne”. Zacząłem się skupiać głównie na tych warstwach przedmiotu, które dają się ująć w kategoriach całkowicie weryfikowalnych.

I teraz muszę lojalnie stwierdzić, że profesor Hutnikiewicz oczywiście zdawał sobie sprawę z mego narastającego dystansowania się od jego opcji badawczej, ale nie miał mi tego za złe. Tolerował to, że dla mnie ważny był przede wszystkim tekst dzieła literackiego jako twór samoważny, samotłumaczący się, że jeżeli już miały się pojawić dociekania genetyczne – i to jest właśnie w mojej pracy o Witkacym – to należało odwoływać się do ustaleń natury historycznej i kulturowej, a nie psychologicznej.

Przemysław Kaniecki: Tolerował też sam przedmiot badań – wiadomo, że profesor Hutnikiewicz nie przepadał za tym autorem.

Jerzy Speina: Rzeczywiście, nie wyróżniał Witkacego spośród czołówki pisarskiej.

Profesor dał mi wolną rękę we wszystkim. Przekazywałem mu moje teksty dysertacji promocyjnych (bo było tak po części i w pracy magisterskiej), przyjmował je

bez zastrzeżeń – i tyle, a ja sam sobie szykowałem w przestworzach. Z jakim skutkiem? – nie do mnie należy wystawianie ocen.

Zbliżam się do konstatacji, którą już wypukliłem w jednej z wypowiedzi opublikowanych wcześniej. Interesowały mnie badawczo dzieła literackie o nieporównywalnych walorach intelektualnych, operujące przekorną (Witkacy), wyrafinowaną (Schulz) stylizacją, odrzucające obowiązujące dotąd konwencje artystyczne. Zajmowała mnie twórczość literacka trudna w odbiorze i stanowiąca wyzwanie dla interpretatora. Zachwycająca swoją odmiennością, wymagająca zawieszenia taksonomii zalecanej po drugiej wojnie światowej, do roku 1956 – taksonomii, która wynosiła na wyżyny realizm. Dzisiaj taki wybór tematów badawczych wydaje się oczywisty i nie musi budzić ani zdziwienia, ani jakichkolwiek innych emocji; inaczej było przed półwieczem, kiedy to awangardowa proza Dwudziestolecia Międzywojennego dopiero wchodziła na warsztat historyków literatury.

Przemysław Kaniecki: Był pan prekursorem.

Jerzy Speina: To za duże słowo. Poza tym nie byłem tu pierwszy – trzeba pamiętać, że dramaturgię Stanisława Ignacego Witkiewicza świetnie scharakteryzował Konstanty Puzyna, który wydał w roku 1962 dwa tomy jego sztuk scenicznych (później zresztą okazało się, że tych sztuk jest jeszcze więcej) ze znakomitą wstępem swojego pióra. Ja natomiast, gdy zająłem się powieściopisarstwem Witkacego, wziąłem je na warsztat analityczny i próbowałem opisać w perspektywie pewnych prądów kulturowych i literackich okresu międzywojennego. Co do Schulza – jego opowiadania udostępnił powojennej publiczności literackiej w 1957 roku Artur Sandauer w książce opatrzonej interpretacyjnym wstępem (budzącym duże emocje u różnych krytyków).

Przemysław Kaniecki: Do tamtego czasu Schulz był autorem właściwie nieobecnym z powodów politycznych.

Jerzy Speina: Tak jak Witkiewicz: był twórcą zaraz po wojnie i trochę później – zapomnianym (najpierw krytycy domagali się realizmu, potem – presja doktryny socrealistycznej), a w Dwudziestoleciu nie zawsze dobrze rozumianym przez recenzentów czy nawet odrzucanym.

Przykładem może być stanowisko młodego Kazimierza Wyki, który pod koniec lat trzydziestych, kiedy się ukazał drugi tom prozy Schulza, *Sanatorium pod Klepsydrą*, nie chciał go przyjąć, ponieważ kłócił się z personalistycznymi przekonaniem krakowskiego krytyka. W *Dwugłosie o Schulzu*, opublikowanym w roku 1939, Wyka nie mógł pogodzić się z obsesją czasu amorficznego w prozie międzywojennej, z obowiązującą w niej zasadą kreacji artystycznej, która w procesie kształtowania się świadomości bohatera literackiego uwzględniała głównie oddziaływanie czasu i pamięci. Uważał, że „roztopienie osobowości w falach czasu jest wrogiem humanizmu, celowej organizacji naszych doznań”. Ciekawsza, istotniejsza wydawała mu się propozycja artystyczna Marii Dąbrowskiej, czemu dał wyraz w recenzji dwóch pierwszych tomów *Noce i dni*, które ukazały się w 1932 roku. Więc rzeczywiście *aut – aut*: jeżeli *Noce i dni* miały być

– w ocenie Wyki – dziełem przełomowym, otwierającym epokę nowego realizmu (*nota bene* co do tego zgodni byli jeszcze inni – Stefan Kołaczowski, mistrz uniwersytecki Wyki i też personalista, oraz Karol Wiktor Zawodziński), jeżeli wybrał Wyka Dąbrowską, dlatego że dostrzegł w jej powieści bohaterów zdolnych do pokonywania rozmaitych przeszkód życiowych, bohaterów wyrazistych w kontekście historycznym i społecznym, takich jak Bogumił Niechcic, no to trudno oczekiwać, żeby odpowiadał mu Schulz. Schulz, którego postacie były takie niewyraźne, wewnętrznie nieuformowane w sposób ostateczny. I którego świat przedstawiony był jakby wyjęty z czasu – to też Wyka akcentował bardzo silnie w ocenie dzieł literackich; one powinny wyrastać ze swego czasu, klimatu czasu, sygnalizować pewne zagrożenia w sferze kultury i tym samym wskazywać drogę wyjścia z takich czy innych sytuacji kryzysowych. Tymczasem proza Schulza okazała się raczej wykwiem swojego czasu, wykwiem kryzysu (w rozumieniu Wyki).

Przemysław Kaniecki: Panie profesorze, przy wyborze tematu pracy doktorskiej kierowała panem też zatem przekora.

Jerzy Speina: Na pewno, jakaś przekora była w próbie ujawnienia wartości literatury, które były wówczas niedoceniane. Tych wartości, które wiążą się nawet z deformowaniem rzeczywistości przedstawionej, dążą do wyróżnienia tego, co posilkuje się w literaturze groteskowością, fantazmatem; tego, co odwołuje się do wyobraźni, i to wyobraźni bardzo takiej – nie wiem, czy to jest właściwe słowo – skrajnej, szokującej.

Oczywiście teraz, z dużego dystansu czasowego, te swoje prace o Witkiewiczu i Schulzu skłonny jestem oceniać surowo, gdy włączam je do zestawu późniejszych, o wiele ciekawszych, moim zdaniem, książek i artykułów o jednym i drugim autorze.

W każdym razie takie były moje początki naukowoliterackie. Zawsze starałem się w pracach unikać emocjonalności w podejściu do analizowanego tekstu i szukania jakiegoś współbrzmienia mej *psyche* z *psyche* autora.

Przemysław Kaniecki: Może też dlatego unikał pan interpretowania poezji?

Jerzy Speina: A tego nie wiem. Bardziej chyba dlatego, że sądziłem, iż zajęcie się liryką wymaga jakichś specjalnych predyspozycji osobowościowych, które są niepotrzebne przy analizie dzieł prozatorskich; może jest i odwrotnie – powiem to na swe pocieszenie – może badanie prozy także wymaga pewnych predyspozycji, które nie są potrzebne badaczowi liryki.

Niemniej zbiór prac, o którym była mowa na początku naszej rozmowy, obejmuje, o czym już wspominałem, także dwa teksty dotyczące twórczości lirycznej. Niewątpliwie dotąd tkwił we mnie i dawał o sobie znać pewien opór, który ostatnio przezwyciężyłem.

Przemysław Kaniecki: Przed napisaniem artykułów, które weszły do tej książki, nie wzbierał się pan natomiast przed badaniem bardzo różnych zjawisk prozatorskich.

Jerzy Speina: Specjalizowałem się przede wszystkim w dziejach polskiej prozy narracyjnej XX wieku – to był główny kierunek zainteresowań, rzeczywiście jednak granice pola badawczego, na którym działałem, były w różnoraki sposób przekraczane. Najpierw chronologicznie – bo w moim dorobku można znaleźć prace dotyczące późnego pozytywizmu, naturalizmu, Młodej Polski (Władysław Stanisław Reymont,

Antoni Sygietyński, Ignacy Dąbrowski, Zygmunt Nideźwiecki); następnie językowo – w spisie moich szkiców znajdują się bowiem studia odnoszące się do literatury rosyjskiej (między innymi utworów Gorkiego i Paustowskiego); dalej, owe granice przekraczane były gatunkowo, gdyż zajmowałem się nie tylko tekstami narracyjnymi, lecz także skupiałem uwagę, choć z mniejszym nasileniem, na historii dramatu (Jerzy Szaniawski), krytyki literackiej (Władysław Jabłonowski, Zygmunt Wasilewski, międzywojenna recepcja krytycznoliteracka *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta, proza polska lat 1945–1948 wobec dziedzictwa Dwudziestolecia – w świetle krytyki literackiej) i czasopiśmiennictwa (artykuły encyklopedyczne o wybranych pismach społeczno-kulturalnych okresu II Rzeczypospolitej). Nie zabiegałem o nakreślanie wizji całościowych, dokonywanych z dużego oddalenia; byłem i jestem analitykiem koncentrującym badawcze poczynania na przekazach indywidualnych, przeważnie utworach wybitnych, które mają już utrwaloną pozycję w dziejach literatury polskiej.

To są pewne dokumenty, to są pewne etapy mojej drogi naukowej.

Przemysław Kaniecki: Można by powiedzieć, że w tym punkcie – badań dotyczących głównie przekazów indywidualnych – pozostał pan bliski profesorowi Hutnikiewiczowi. Tak też badał pan prozę psychologiczną.

Jerzy Speina: Ma pan rację, zainteresowałem się konkretnymi autorami. Nałkowską, Kuncewiczową, Brezq. Znowu: to nie była proza realistyczna, to był efekt swego rodzaju eksperymentu artystycznego. Eksperymentu, który polegał na odkrywaniu rozmaitych niespodzianek, paradoksów motywacyjnych, jakie może skrywać nasza psychika. Zastanawiałem się, jak te obserwacje *quasi*-naukowe, wypełniające tok narracyjny powieści psychologicznej, ulegają transformacji na formy literackie, na kompozycję, formy podawcze, styl językowy. Wyniki swoich analiz pomieściłem w tomie studiów i szkiców *Literatura w perspektywie psychologii*.

Przemysław Kaniecki: Z myślą o studentach natomiast napisał pan *Typy świata przedstawionego w literaturze*. I za tę popularnonaukową książkę, pozwoli pan, chciałbym panu w imieniu studentów na zakończenie naszej rozmowy szczególnie podziękować.

Jerzy Speina: A wie pan, jest to książka, do której stale wracałem: uzupełniałem, poprawiałem. Cieszę się, że spotkała się z jakimś uznaniem, ale ja i do niej odczuwam pewien dystans, jak do tych wszystkich książek. Wyznaję, że nie jestem z nich w pełni zadowolony. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Na pewno dobrze.